

Rozmyślania



Kultura a elity

Czy polska książka umiera? Czy znikają księgarnie, biblioteki, bo wmawia się nam, że to my, społeczeństwo polskie, nie chcemy czytać? Czy umiera w ogóle polska kultura? Często zastanawiam się nad tym i dochodzę do wniosku, że prawda zawsze leży po środku. Pewnie, że są miejsca na kulturalnej mapie Polski, gdzie zamyka się biblioteki i domy kultury, ale z drugiej strony są też i takie, w których powstają nowe placówki, a stare poddaje się gruntownym remontom. Jednak tych jest coraz mniej...

Andrzej Dębkowski

Faktem niezaprzeczalnym jest także i to, że mamy coraz mniej dobrych filmów (choć ostatnio w filmie coś drgnęło), wystaw, teatrów i polskich książek do czytania. Widać to wyraźnie na rozlicznych festiwalach i targach, gdzie kultura polska jest tylko do pokazywania jej osiągnięć – głównie za granicą – właśnie poprzez festiwale, konkursy, nagrody, a powinna być głównie dla każdego Polaka. Weźmy np. rynek wydawniczy. Niestety, tak się porobiło, że na tym rynku są głównie te pozycje, na których wydawnictwa zarabiają? I tylko ci autorzy, na których wydawnictwa zarobią w przyszłości? I rzeczywiście, lansowane są – za niebotyczne pieniądze – wciąż te same nazwiska. A jeśli chodzi o wartość tych książek, to cóż, można by wiele mówić...

Pamiętam, jak kilka lat temu Pegaz pokazał fragmenty wypowiedzi Marcela Reicha-Ranickiego o polskiej literaturze najnowszej. Niemiecki krytyk aż wił się z oburzenia, rzucał na kanapie z niesmaku. Dał wielki spektakl niezadowolonia. Chwilę potem, zgromadzeni w polskim studio krytycy, siedząc jak trusie, grzecznie i bezbarwnie zdementowali tamte obelgi. Cichutko! Czyżby Telewizja ich oniemiała?

We wspomnianym odcinku wyszło na jaw, że ci wszyscy inteligentni, wykształceni

ludzie nie rozumieją telewizji. I nie wyciągają żadnej lekcji z tego, co pokazał Reich-Ranicki. Ekran potrzebuje wyrazistych postaci, a nie znosi błędnych cieni. Nie wymagam od nich, by klęli i zamiast dyskutować od razu wyciągali broń. Niech jednak powiedzą chociaż jedną rzecz, którą zapamiętam...

Niestety, tak dzieje się i teraz. Programy kulturalne – czy to w telewizji publicznej, czy w telewizjach komercyjnych – rażą jednym: prowadzą je osoby absolutnie do tego nieprzygotowane. A zdarzają się i takie programy, do których zaprasza się absolutnych dyletantów, bądź często miernoty intelektualne. Teraz nie trzeba już sobą niczego reprezentować, aby poprowadzić własny, autorski program. Kogo więc my tam mamy? A to pojawia się poeta-amator, bredzący o nowych kierunkach w literaturze (oczywiście stworzonych głównie przez jego koleśków – jeszcze większych idiotów), a to muzyk-skanalista, podobno „intelektualista”, znajdując się absolutnie na wszystkich dziedzinach sztuki, a to panienska, która nie potrafi skłecić poprawnie kilku zdań, a to sepleniąca „gwiazda” durnowatych teleturniejów itd. itp. Nie powiem, czasem pojawia się ktoś mądry, ale to tylko kropla w morzu...

Dlaczego więc tak się dzieje? To proste. Współczesna kultura nie potrzebuje dyskusji o kulturze, już nie potrzebuje krytyków z prawdziwego zdarzenia, tylko recenzentów kolorowych magazynów, którzy o „produktach kultury” piszą kilka lub kilkanaście zdań. Obecny odbiorca kultury więcej nie potrzebuje, jemu wystarcza zdanie, że »książka np. Masłowskiej jest genialna«. To mu wystarczy, aby ją kupić. Oczywiście recenzent zrobi to dlatego, że jakiś koncern wydawniczy zapłacił mu, żeby wychwalał np. książkę wspomnianej Masłowskiej, Grocholi, bądź innego Pilcha. I choćby ktoś z tej „wielkiej” trójcy napisał najbardziej niebotycznego gniota, to i tak dyżurny recenzent (bądź recenzentka, bo i takie się zdarzają) będą pisać o wielkich walorach językowych wspomnianego „wieszczka”.

Nie rozumiem tylko, skąd wzięła się ta plaga? Na naszym literackim podwórku wszyscy zachowują się tak, jakby w literaturze nie był potrzebny obiektywizm, a liczą się tylko układy i kasa. Być może jest to moja ułomność i niezrozumienie czasów i sytuacji, w jakich przyszło mi żyć. Jednak nie jest to wytłumaczenie.

Coraz częściej dochodzi do sytuacji, kiedy grupka indoktrynerów przywłaszcza sobie prawo do wygłaszania jedynie słusznych opinii na temat naszej współczesnej, rodzimej literatury. Przypadków było wiele, ale stało się tak z encyklopedią „Literatura polska”, wydanej nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Wiem, że odłak wynaleziono druk, książki zawsze dzieliły się na te dobre, prawomyślne i te złe, niesłuszne, które trzeba wyrzucić, dać do przemiału, spalić... Od niepamiętnych czasów trwały dyskusje na temat politycznych, religijnych czy obyczajowych racji działań i zachowań, opisywanych w książkach. Jednak tzw. prawda liczyła się najbardziej. Można było nie zgadzać się z wartościami jakiejś książki, ale prawda w niej zawarta była rzeczą najświęt-

szą. Książka prawdziwa obroniła się zawsze. Niestety, prawie dwadzieścia lat od momentu zniesienia w Polsce cenzury, na rynek wydawniczy trafia książka, która jest hańbą polskiej literatury, a momentami, kłamliwym paszkwilem. Autorzy tego „dziełka” doszli do wniosku, że mają monopol na prawdę o polskiej współczesnej literaturze, że tylko poeci, pisarze i krytycy skupieni w pewnym stowarzyszeniu pisarskim są tymi, o których warto pisać. Naliczyłem ich w książce ponad stu. Natomiast omówiono dosłownie kilku literatów z innych stowarzyszeń twórczych. W tym wypadku jedynym kryterium znalezienia się w tym wydawnictwie była najprawdopodobniej przynależność „partyjna”, a nie faktyczny dorobek literacki.

Tak dzieje się zawsze, kiedy do różnych działań społecznych dobierają się różnego rodzaju oszołomy, którzy swoją bezmyślną cenzurą kaleczą literaturę narodową, zabijając jej tożsamość i suwerenność, kiedy przywłaszczają sobie prawdę o jej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości...

Prof. Jacek Trznadel napisał kiedyś dzieło pt. „Hańba domowa”, odzegnując od czci i wiary pisarzy skupionych w ZLP. Ciekawe czy obecnie zająłby podobne stanowisko? Przypuszczam, że tak, ponieważ Trznadel wyraźnie określił swój stosunek do literatury polskiej, wcielając się w rolę aktorki Szczepkowskiej, głoszącej upadek komunizmu. Zapomniał tylko o jednym, że parę lat przed opublikowaniem swojej „Hańby...” był niezwykle aktywnym członkiem opluwanego środowiska...

Jak widać sytuacja we współczesnej kulturze jest nienormalna. Fachowcy niech wyjeżdżają do Irlandii, bo tutaj są nikomu nie potrzebni. Niedzielny program o aktualnościach kulturalnych w TVP Kultura tworzą ludzie, którzy w większości nie mają kwalifikacji do tego, czym akurat się zajmują. Głównie pochodzą z gazet i czasopism, gdzie postępują analogicznie.

Kiedy się na to wszystko patrzy i próbuje – nie daj Boże – zrozumieć, to odnosi się wrażenie, że żyjemy pod jakąś kopułą... Należałoby zadać pytanie: Ile osób kupuje dziś (i czyta) współczesne powieści i współczesną poezję? Niewiele. Kto dziś spiera się o jakiś esej, wystawę, przedstawienie?

Nie sądzę więc, by poprawiał nastroje obserwatora rynku naszej prasy kulturalnej fakt, że ten spór o elity (bo oto tutaj chodzi) toczy się całkowicie poza uwagę i troską tych, którzy powinni być nim najbardziej zainteresowani, czyli samych elit. Zresztą trzeba zadać pytanie dodatkowe, gdzie te elity w ogóle są i jaka jest ich rola we współczesnej kulturze? Odpowiedź jest przerażająca, bo tak naprawdę elit z prawdziwego zdarzenia w Polsce nie ma, bo „to”, co się każe tak nazywać, to jakaś efemeryda, jakaś żałosna karykatura elity. Jakies gwiazdki jednego sezonu, jakieś kosmiczne klony odgrywane bohaterów tępych seriali, poetki, które podczas wywiadów, nie potrafią poprawnie zbudować zdania albo dwudziestoletni pisarze, którzy już w tej chwili mają trzydziestoletnie doświadczenia opozycyjne. Żałosne to wszystko i przerażające, ale może już na dzisiaj wystarczy...